

Urodziłam się 11 października 1922 r. we wsi Koberzyce koło Pinczowa. Moim ojcem był Jan Kulik, legionista, matką Antonina z Wątrobińskich. Jako kombatant ojciec otrzymał gospodarstwo osadnicze (30 morg) we wsi Bosyry woj. Tarnopolskie. Oprócz gospodarki ojciec zajmował się handlem w naszym sklepiku. Nasza wieś znajdowała się 1,5 km od Zbrucza, toteż 17 września o 4 rano obudziły nas odgłosy starcia wojska polskiego z rosyjskim. Ojciec powiedział, że Rusczy idą na Polskę. Nad ranem dotarło do nas 3 polskich żołnierzy, których matka ukryła w domu. Niebawem nas opuścili. Trafili do nas również rosyjski patrol wojskowy. Jeden z żołnierzy, mówiący po polsku powiedział ojcu, żebyśmy uciekali, bo będzie źle. Poprosił też ojca o święty obrazek i o błogosławieństwo, bo oni idą na ... Berlin. Tego samego dnia poszliśmy do wioski ukraińskiej, tam również radzono nam żeby uciekać. Za tydzień, w niedzielę, z rana do osady przyszli Ukraińcy z pałkami i wiązami. Kiedy przechodzili koło naszego domu jeden ze znajomych Ukraińców powiedział do mnie, żebyśmy zaraz uciekali. Został za to pobity przez swoich. Ukraińcy poszli na koniec osady i zaczęli wszystko rabować. W tym czasie ojciec namawiał sąsiadów do ucieczki, ale oni odmówili. Uciekliśmy więc sami z zamiarem dostania się do Lwowa. Po drodze zatrzymaliśmy się w Usiaczu. Ugościli nas tam księża odradzając dalszej ucieczki i namawiając do powrotu do domu. Kiedy powróciliśmy do Bosyrów okazało się, że wszyscy osadnicy, którzy pozostali w domu są zabici. Dorośli byli potopieni w studniach, a dzieci powieszono na protach za brzuchy. Z naszego całego majątku ocalały tylko 3 kury. Konie zabrali jeszcze wcześniej Rosjanie. Ojciec, który hodował konie dla wojska bardzo to przeżył.

10 lutego 1940 roku przyszli do nas Ukraińcy i kazali się zbierać do drogi. Robiliśmy to w pośpiechu, tak że nie zdążyliśmy się nawet porządnie ubrać. Najmłodszą siostrę mama zdążyła tylko zawinąć w koc. Druga siostra nie zdążyła założyć butów. Kiedy chciałam wrócić do domu po buty dla siostry jeden z żołnierzy uderzył mnie. Powieziono nas saniami do husiatycza i wsadzono do wagonów bydłowych. W wagonach czekaliśmy na sformowanie pociągu. Polacy oddawali Ukraińcom matkę i dzieci na przechowanie. Oczekiwanie na transport trawało bardzo długo. Kiedy w końcu pociąg ruszył powiedziano nam, że jedziemy do Polki. W nocy na

postoju uszyszeliśmy rosyjskie dzieci żebrzące o chleb. Ojciec powiedział; Dzieci, jesteście w Rosji. W naszym wagonie jechało około 20 rodzin (100 osób). W kącie za zasłoną stało wiadro, które służyło za ustęp. Bardzo dużo ludzi umierało z zimna i głodu. Raz na kilka dni na stacjach otwierano drzwi wagonu, wynoszono zwroki umarłych i dawano wiadro zupy na cały wagon. Wody nie dostawaliśmy i gasiliśmy pragnienie liżąc szron ze ścian wagonu. Droga prowadziła przez Nowosybirsk, Bernauz i Bertauz. Zawiezino nas do tajgi, leżał śnieg, było 40 stopni mrozu. Dostaliśmy łopaty, piły i siekiery i kazano nam budować baraki. Do czasu ich zbudowania mieszkaliśmy na śniegu. Baraki po zbudowaniu zostały ogrodzone, pilnowała nas uzbrojona straż. W obozie było bardzo dużo Polaków, wszyscy z naszego transportu. Ojciec odmroził sobie nogi, dostał gangreny i po niedługim czasie zmarł.

Wszyscy w obozie musieli pracować, część przy wyrębie lasu, część w oddalonym o 4 km tartaku we wsi Tarmienko. W tartaku wytwarzano podkrady kolejowe i brykiety do traktorów. Było bardzo dużo wypadków przy pracy. Pracowaliśmy od świtu do zmroku. W lesie pilnowała nas straż z psami. Dostawaliśmy po 40 dkg mokrego, ciężkiego chleba dziennie. Tylko traktożyści dostawali lepsze jedzenie. Za pracę dostawaliśmy niewielkie wynagrodzenie, ale w obozowej kantine towar był tylko od czasu do czasu. Lato było bardzo krótkie, dokuczaly nam wtedy baki i komary. Chodziliśmy do lasu zbierać grzyby, które potem gotowaliśmy. Nie mieliśmy żadnej opieki lekarskiej, tylko ciężko chorych wożono do wsi. W obozie była tylko jedna studnia.

~~xxxxxxxxxxxx~~ Ponieważ mieliśmy ze sobą zapas odzieży namówiłam mamę aby pójść do wsi i wymienić to co mamy na jedzenie. Poszliśmy razem z mamą, ale w żadnym z domów nie chciano z nami rozmawiać. Dopiero w ostatnim domu Rosjanka uszyszawszy, że jesteśmy z Polski zaprosiła nas do siebie. Zaprowadziła nas do piwnicy i tam dopiero odważyła się z nami rozmawiać. Mówiła, że wszędzie jest NKWD. Dostaliśmy od niej worek kartofli. Powiedziała też, że Stalin ich przeklął o Bóg się od nich odwrócił. Prosiła, żeby się za nią modlić. ✓

W 1942 roku wywieziono nas do Stalinabadu, stamtąd natomiast do Czerżu i barkami z biegiem Amur-Darii do Urgieńcza.

W Urgieńczu pracowaliśmy w koczochie. Jedliśmy arbuzy i winogrona. Za oszczędności kupiliśmy osła, którego zjedliśmy. Pilnowałam zagony arbuźów. Uzbegy przychodzili je kraść. Pozwalałam im

na to, prosząc tylko aby brali arbuzy ze środka pola, nie zaś z brzegu. Uzbegy dawali mi w zamian "lepioszki" tj. pieczywo. Matka pracowała w chlewie i czasem udało się jej przynieść padnięte prosię. W ten sposób zdobywaliśmy żywność.

Mężowie moich dwóch sióstr opuścili Rosję z Andersem.

W 1943 roku zabrano nas z Urgieńcza. Wsadzono nas na barki, którymi połynęliśmy Amur-Darią ku Morzu Aralskiemu. Nasz transport składał się z 5 barak ciągniętych przez jeden holownik. Na każdej barce był ksiądz. Oprócz cywilów byli też polscy żołnierze. Na drogę dostaliśmy po dwa kilo solonych pomidorów. Dawano nam też ryby, które były zepsute bo wszyscy, którzy je jedli chorowali i umierali. W ciągu jednej nocy zmarli żołnierze z naszej barki. Dokuczano nam pragnienie, gdyż dostawialiśmy tylko wiadro wody na barkę raz na kilka dni. Kiedy płynęliśmy Morzem Aralskim dotarła do nas wiadomość o śmierci Sikorskiego. Rosjanie odczepili holownik i odpłynęli ku niedalekiemu brzegowi pozostawiając nas na barkach. Po kilku dniach jednemu z mężczyzn udało się dopłynąć do brzegu i sprowadzić holownik, który nas uratował. Wyszczono nas na brzegu, dostaliśmy wodę i po kawałku chleba. Mieliśmy ze sobą cebulę, którą wymienialiśmy na wędzone flądry. Jedliśmy też wytroki z pobliskiej olejarni. Wszyscy chorowali na dezynтеріę.

Znad ~~xxxxxxx~~ Morza Aralskiego przewieziono nas na Zaporozże.

Był to w 1945 roku. Mieszkaliśmy w kołchozie w domach po niemieckich kolonistach. Tam też zastał nas koniec wojny.

Dostaliśmy karty repatriacyjne i z początkiem 1946 roku przyjechaliśmy do Polski. Mój brat przybył do Polski wcześniej, gdyż nie czekając na transport sam uciekł do Polski.

Po wojnie osiedliłam się we Wrocławiu. Tu poznałam swojego obecnego męża. W czasie wojny służył on w Armii Radzieckiej, po wojnie natomiast zdezerterował. Jego matka, mieszkająca w Leningradzie molestowała władze sowieckie, gdyż nie miała o synu żadnych wiadomości. Obawiając się zrapania przez NKWD zmienialiśmy często pracę i miejsce zamieszkania. Trwało to do amnestii z 1956 r. W 1959 roku postanowiliśmy z mężem przenieść się do Rosji. W konsulacie w Warszawie zapewniano męża, że spotka się z dobrym przyjęciem. Na miejscu okazało się, że mąż nie może dostać żadnej pracy. Wnie przyjmowano tylko do najniższej płatnej, najcięższej pracy. W latach 60-tych spotkałam się w Leningradzie z uciekinierem z naszego obozu na Syberii. Opowiadał mi on o 10 polskich rodzinach, które nie zostały repatriowane i nadal żyją w Tarmienku.

W Związku Radzieckim doszliśmy się z mężem emerytury i powróciliśmy do Polski. Ja wróciłam w 1979, a mąż w 1981 roku.

✓
© ARCHIWUM WSCHODNIE

Weszliśmy do takiego lochu pod dom, do podziemia. Przeszliśmy z jednej piwnicy do drugiej i dopiero tu zaczęła z nami rozmawiać. Tak się bali. Mówi, że tu ściany mają uszy, że nic nie wolno, bo od razu zabiją. Manusia zaczęła jej opowiadać i opowiedziała o wszystkim. Ona mówi: "Wezmę od was to co macie i dam wam." Dała nam chyba z piętnaście kilogramów kartofli a wzięła to co małyśmy w zamian. Mówi: "Módlcie się, bo Stalin przeklął nas! Pan Bóg nie chce nas słuchać! My przepadniemy, bo jest wojna. Nic z nas nie będzie. A wy, gdy będziecie się modlić to uprosicie Pana Boga i zlituje się nad nami." Dała nam te kartofle i kazała modlić się za nich: "Módlcie się, bo nie jesteście jeszcze przeklęci!" Kawałek nas odprowadziła i wieczorem poszliśmy do domu. Ale jak tu iść, bo to ścinali drzewa.. Wszędzie komary i muchy. Muchy takie duże jak osy i jak straszliwie gryzły. Z tydzień leżałam później chora. Niedaleko była szosa, jak się szło do pociągu.

-Jak wyglądał dzień w tym obozie? Czy była jakaś pobudka? O której?

Była według ich czasu, gdzieś koło godziny 6-ej. Było jeszcze ciemno a już przeba było iść do tartaku.

-Czyli pobudka musiała być wcześniej, przed godziną 6-ą? O której? O 5-ej?

Tak. Gdy ktoś nie stawiał się do roboty to przychodzili z karabinami i bili batami

-Czyli liczyli ludzi przed wyjściem do pracy?

Na pewno liczyli, przecież wiedzieli ilu musi być ludzi, bo każdy miał swoje stanowisko, każdy był zajęty. Jak szliśmy do lasu to stali z psami i pilnowali, żeby nikt nie uciekł.

-I długo pracowaliście?

Oj, długo! Od nocy do nocy.

To znaczy do zmroku?

Tak. Człowiek jak już wrócił to nie miał czasu, żeby się umyć. Rzucał się spać jak pies.

-Czy w czasie dnia pracy był jakiś posiłek? Czy dostawaliście chleb?

Tylko chleb. Nic więcej. W nocy wypuszczali jednego ~~po~~ chleb dla kilkunastu osób. Musieli stać razem z kobietami nieraz cały dzień zanim go przywieźli i dali. Drugiego w ogóle nie było. Brali po 40 dkg chleba, który był ciężki.

-To nie było w obozie? Po chleb trzeba było wychodzić?

Tak. I przywozili chleb.

-Pracowaliście państwo cały tydzień?

Tak, cały tydzień a wiele razy i w niedzielę. Nie wiedzieliśmy kiedy jest dzień, kiedy niedziela.

-Czy dostawaliście jakieś zupy?

Nie, nam nie dawali.. Ci, którzy pracowali na traktorach (pracowali ciężko) dostawali parę groszy i oni mogli sobie tę "wodę" kupić, jeśli coś zostało.

-To znaczy, że część pracujących dostawała jakiś ciepły posiłek. Ale nie

wszyscy?

Tak, nie wszyscy.

-I dostawaliście państwo za pracę jakieś pieniądze?

Parę GROSZY.

-Ruble, kopiejki. Dużo tego było?

Ale za nie ^{nie} można było nic kupić.

-Nie było żadnego kiosku, kantyny?

Nie, żadnego. Jedynie trzeba było iść do wioski. Oni od czasu do czasu coś przywozili.

-A co sprzedawali? Coś do jedzenia?

Jakieś łachy. Można było kupić sukienki bez rękawów. Ale nic więcej. Wokół obozu było bardzo dużo grzybów. Ale też nie chcieli puszczać. Kobieta, która miała małe dzieci raz, drugi przyniosła pełen worek tych grzybów. Najwięcej było opieniek.

-Czy w obozie była opieka lekarska? Czy był felczer, jakiś sanitariusz, izba chorych?

Niczego takiego nie było. Dopiero kilkanaście kilometrów od nas w tej wiosce, gdzie wymienialiśmy (na ziemniaki). Tam dowozili, jeśli ktoś ciężko zachorował.

-Czy była jakaś łaźnia?

Nie było żadnej.

-A czy była doprowadzona woda?

Nie, ależ skąd!

-A studnia?

To nasi wykopali i wtedy mieliśmy.

Później powiedzieli, że wywiozą nas do Stalinbadu.

-Po tym porozumieniu Sikorski-Majski?

Tak. Ludzie nie chcieli się zgodzić, ponieważ oni chcieli, żeby wybudować sobie domki i w nich zamieszkać i oni zaraz by nadali obywatelstwo.

Przymusowo, bo chcieli, żeby zostali. Zostały chyba tylko dwie rodziny.

-Zmuszali do przyjęcia obywatelstwa?

Tak. Jak ojciec umierał to prosił, żeby nie przyjmować.

-Czy dostawaliście jakieś paszporty?

Nic nie dostawaliśmy, były "spiski".

-"Spiski" to znaczy listy?

Tak, robili listy. Dopiero jak wyjechaliśmy do Stalinbadu, jak nas zapakowali do pociągu to nam je dawali. To było w 43 roku. Wtedy była już jakaś organizacja. Ale do Stalinbadu już nie puszczali, bo to było tuż przy granicy z Turcją albo Iranem. Przywieźli nas do Gieńcziu.

-To znaczy, że zawieźli was na samo południe?

Tak. Jechaliśmy cztery albo pięć miesięcy. Wpuścili nas do Środkowej Azji. Najpierw jechali na Taszkient, później na Samarakandę i na ten Stalinbad. Później znawu wracali do Środkowej Azji. W Czercu wyrzucili nas z pociągu na pole. Było już ciepło, bo to była Środkowa Azja. Wyrzucili nas nad wodą i powiedzieli, że musimy czekać aż przypłyną okręty. Dwa miesiące czekaliśmy na warsze (jakie tam okręty to były warsze!) To była rzeka ~~Mudaria~~ Mudaria. Około półtora miesiąca czekaliśmy na te warsze. Załadowali nas i przewieźli na drugą stronę Azji do Urgiejcze. Pracowaliśmy tam jeszcze dwa lata.

-To znaczy, że w 42 roku zabrali państwa z północy.

Tam pracowaliśmy w PGRach.

-Jak was zabrali z północy to przez kilka miesięcy jechaliście na południe. Dwa razy byliście w Azji Środkowej, ciągnęli was i w końcu trafiliście do Urgiejcze.

Tak. Trafiliśmy do Urgiejcze i tam pracowaliśmy w kołchozach. Tam było nam

dobrze, bo tam byli Uzbeki, którzy zawsze coś nam pożyczyli czy pomogli.

-Dalej mieszkaliście w obozie?

Rozdzielili nas po barakach.

-Ale to był barak kołchozu?

Tak. Było tak ciepło, że człowiek chodził nago. Były arbuzy, winogrona.

Chodzili i kradli, bo co można było zrobić.

-Gdzie pracowaliście?

Na polach.

-I pracowaliście jako więźniowie?

Tak.

-Czy za pracę dostawaliście jakieś wynagrodzenie?

Nie. Pracowaliśmy za jedzenie.

-Czy dalej byliście pod nadzorem NKWD?

Tak samo. Cały czas były "spiski".

-Czy tak samo wyprowadzali was rano do pracy kolumnami?

Tak samo.. Stamtąd też nie było ucieczki, bo wokół pustynia. Gdyby ktoś uciekł to by go zjadły szakale. Nawet nie trzeba było nas pilnować.

Była uzbecka wioska i to wszystko.

-Czy w tym obozie było wielu Polaków?

Żyli ci, którzy dotrwali.

-A wielu umarło?

Dużo. Połowa umarła. Umierali całymi rodzinami. Z głodu malutkie dzieci (starsze mniej) to aż "pękały". Nigdy nie widziałam, żeby ludzie tak umierali z powodu głodu. Tam, gdzie my byliśmy, to prawie wszyscy nasi znajomi umarli.

-Umierali już na południu czy po drodze?

Już po drodze. Panowała malaria. A jak zaczęła kwitnąć ta ich "wata" to bardzo nas oczy bolały.

-To znaczy bawełna?

Tak. Dostawaliśmy zapalenia spojówek. Człowiek ślepy. Ja też bardzo długo i ciężko chorowałam.

-Czy był tyfus?

Był tyfus i cholera.

Z powrotem jak nas wieźli -powieźli, że z powodu umowy z Sikorskim wracamy do domu, do Polski - to nie jechaliśmy tą samą drogą, bo już nie było pociągów ale w kierunku Morza (Jeziora) Aralskiego. Nad tym jeziorem były kopalnie soli. Jeden ruski, który nas wieźł mówił, że tam można chodzić swobodnie, bo stamtąd nie można uciec. A woda była tak słona, że człowiek pił i nie mógł się napić.

-A kiedy to było?

To było chyba na początku 45 roku.

-A czy wtedy wszyscy z Pani rodziny tam przyjechali?

Ależ skąd! Ojciec zmarł na Syberii, zaraz na początku. Mówił: "Ja nie chcę żyć". Umarła najmłodsza siostra a starszej umarło dwoje dzieci. Reszta rodzeństwa żyła.

-A matka?

Chyba umarła w tym roku, w którym wyjechaliśmy.

-Czy dostawaliście jakieś paczki z UNRy?

Nie, nic. Na samym końcu, gdy już mieliśmy wyjechać w kierunku Jez. Aralskiego dali nam po dwa kilogramy solonych pomidorów (po dwa czy trzy kilo na osobę) i powiedzieli, że nam to dali Amerykanie.

-One były w puszkach?

Nie, w beczkach. Tak dzielili, żeby starczyło dla wszystkich. Uzbegy też chcieli dostać, bo też chodzili głodni. Oni też umierali. Był głód. Z początku nie dawali nam chleba. Później upiekli ale był bardzo ciężki i jak glina.

-To jakieś zboże było?

Tak. Nazywało się "dziubara". Były z niego bardzo dobre placki.

-Takie zboże tam rosło?

Takie zboże. Nie potrafię go opisać. Ale placki były z niego białe, okrągłutkie - takie jak pączki. Jak płynęliśmy to z tej słonej wody wyciągali ryby. Chłopaki z wojska co jechali na warszach też byli głodni.

Płynęliśmy tak, że jeden holownik ciągnął po pięć warszy. Były żelazne klapy, które się z wierzchu zamykało i ludzie stali we wodzie. Spali jeden obok drugiego. A na dnie była woda. W każdej warszy był ksiądz. Odprawiali msze, śpiewali. Wojsko jechało na wierzchu warszy. Szczególnie wielu było na naszej

Ja żartowałam z tymi chłopakami. Siedzieli na ławeczce. Księżyc świecił w pełni. Komarów nie było więc można było posiedzieć dłużej. Tak siedzieliśmy i żartowaliśmy, bo chociaż byliśmy głodni to byliśmy młodymi ludźmi. Chłopaki też byli głodni. Jedli nawet robaki i te ryby.. Powiedzieli: "Przyjdźcie dziewczynki jutro!" Przyszliśmy i nam powiedzieli, że oni poumierali i wyrzucili ich do wody. Na warszy zostało nie więcej niż 50-ciu wojskowych chłopaków. Zapytałyśmy jak to się stało. "A jak poszłyście spać to ich powyciągali i powrzucali do wody." Jak nasza mama to usłyszała to zaraz wyrzuciła wszystkie ryby.

-To nie było wody?

Nie było. Jeżeli dali na warszę wiaderko wody to każdy dostał jej bardzo mało. Wodę dawali raz na dwa dni. Nawet napić się nie można było, bo taka była słona. Wielu ludzi poumieralo, wielu utopiło się.

Między Amu-Darią a J. Aralskim była rzeka- nie pamiętam jej nazwy -i gdy mieliśmy ją przekraczać to kazali się ludziom położyć na brzuchach i zamknęli te żelazne klapy (drzwi). Chcieli utopić wszystkich. Gdy wpłynęliśmy już na J. Aralskie wtedy holownik odłączył się i zostawił nas na środku jeziora. Siedzieliśmy tam ze dwa tygodnie. Pamiętam, że tego dnia dowiedzieliśmy się, że zestrzelili Sikorskiego. Zostawili nas bez jedzenia. I tak staliśmy.

-Proszę opowiedzieć tę historię z Urgiejcza.

Była rodzina rosyjska. Ona mówiła, że jej mąż jest Polakiem. Ona pomimo tego, że była Rosjanką też została zesłana. Porozumiała się ze mną i zaproponowała, żebyśmy poszły do miasta. Do Urgiejcza było z piętnaście kilometrów.

Poszłyśmy i kupiłyśmy liszaka czyli osła. Zabiliśmy go i w ten sposób mieliśmy co jeść. To było bardzo dobre mięso ale Uzbegy śmiali się z nas, ponieważ sami nie jadają mięsa osła. Dla nich liszak był święty. A my właśnie w ten sposób się rotowaliśmy..

Pamiętam jak przyszedł do mnie brygadzysta i powiedział: "Ty Włada jeszcze jesteś silna to wsiadaj na osła i jedź zobacz czy oni jeszcze pracują."

Oni wtedy ścinali czcinę. Miałam wtedy malarię ale musiałam jechać.

Uciekł mi liszak (zrzucił mnie, kopał) i musiałam iść pieszo. Powiedziałam do liszaka: "badaj byś zdechł!" Wydaje mi się, że brygadzysta specjalnie

mnie wysłał, żeby ukarać za pewne zdarzenie.

W średniej Azji pilnowałam arbużów. Przyjechał brygadzysta i mówi: "Włada! Daj ze dwa-trzy worki arbużów a moja żona w zamian da ci mleko, bo ma krowę!" Mówię: "Nie mogę dać, bo jestem chora. Tylko pilnuję". Miałam zrobiony daszek, była prycza, gdzie mogłam spać. "Jak chcecie wziąć to idźcie kraść. Idźcie na sam środek pola, bo kontrole chodzą skrajem pola". Pole ciągnęło się przez trzy kilometry. Tak przeżyłam.

-Po prostu pani handlowała?

Tak. Trochę chleba, trochę mleka. Nie brałam pieniędzy. Żona brygadzysty przynosiła lepieszki czyli placki, jak wydoiła krowę to przyniosła trochę mleka. Mama była w innym kołchozie i pracowała przy prosiętach. A oni nie jedzą przecież świń. Gdy prosięta zaczęły chorować wtedy mama kazała mi przyjść. A między jednym kołchozem a drugim była bardzo głęboka woda. Mama zabiła prosiaka i obie przyniosłyśmy go do domu. Ważył około 40-50 kg. Każdy musiał dbać o siebie, żeby przeżyć. Zjadały nas pluskwy, robaki, komary.

-Również w Uzbekistanie, w Urgiejcze?

Tak. Dawali nam gazę i z niej szyliśmy takie moskitiery. Jak spaliśmy - a spaliśmy na ziemi po dwie-trzy osoby razem - to wieszaliśmy ją na kijach i wtedy komary mniej gryzły. Nie można było spać w barakach, bo zjadały nas pluskwy. Tak samo było na warszy - bardzo mało ludzi dojechało. Gdy zostawili nas na J. Aralskim wtedy zaczęło się tępienie robactwa: palenie, wybijanie. Jeden chłop dopłynął do brzegu i poszedł po pomoc. Okazało się, że nikt nic o nas nie wiedział.. Dali nam motor i on dociągnął nas do brzegu. Tam dali nam wody do picia i po kawałeczku chleba. Zjedliśmy i pojechaliśmy dalej, do Taszkientu, do średniej Azji. Tam byli Turcy.

Jeszcze z Urgiejcza mieliśmy po pół worka cebuli, bo przy niej pracowaliśmy i ona nas ratowała.. Miejscowa ludność, to byli rybacy, którzy łowili ryby m.in. taką flądrę. I za dwie cebule mogliśmy dostać taką fląderkę. Bardzo dobre były wędzone fląderki..

Dwa miesiące czekaliśmy nad jeziorem na transport, na wagony.

-Gdzie czekaliście na ten transport, w e wsi?

Nad wodą.

-Czy były jakieś namioty?

Nie. Siedzieliśmy, spaliśmy na gołej ziemi. Ludzie umierali. Wody można było się napić ale solonej a wtedy jeszcze bardziej chciało się pić.

-Napewno co pewien czas przywozili wodę?

Rzadko i bardzo mało. Dostawaliśmy wtedy po takim bardzo małym kubeczku.

Od razu się wypijało. Nasza mama dzieliła wodę, żeby na dłużej starczyła.

Miejscowi robili wytłoki to ludzie, krórczy mieli trochę pieniędzy kupowali je

-Na pewno chorowali?

Na wszystko chorowali: dezynferia, czerwonka. Wszystko co przynosili miejscowi do jedzenia to mama wrzucała do wody i myła, bo od razu się chorowało.

Załadowali nas do wagonów i przywieźli na Zaporozie. Długo jechaliśmy ale

dawali już nam jedzenie. Przynosili do wagonu po dwa wiadra wody i zupy.

Chleba nie dawali.

-I to trwało dwa miesiące. Nie pamięta pani czy to było jeszcze w czasie wojny czy już po wojnie?

Jeszcze była wojna.

-Czyli to było w I połowie 45 roku.

Powiedzieli, że jedziemy do Polski. Ale jeszcze nim dojechaliśmy na Zaporozie zatrzymali nas w kołchozach, które były bardzo oddalone od stacji kolejowej.

To były kolonie niemieckie. Wszystko było zrujnowane ale domy jeszcze stały

Tam pracowaliśmy ale nie było głodu. Były słoneczniki, kukurydza.

-Gdzie mieszkaliście?

W domkach a właściwie to były baraki. Duży budynek, po środku którego było tylko okno.

-A jak było na Zaporozu?

Też był duży blok. Po jednej stronie mieszkali ludzie. Każdy miał swoją pryzę. Były piece, bardzo małe okna.

10 maja 45r. przyjechali i powiedzieli, że wojna się skończyła. Jesienią, kiedy już było zimno przywieźli nas do Polski.

-Jeszcze w 45 roku. Czy zabrali wszystkich?

Tak. Wszystkich tych, krórczy przeżyli.

-Czy to był ten sam transport, który wyjechał? Z tymi samymi ludźmi jeździła pani po Rosji? Nie rozdziłali was?

Nie. Dołączali nowych. Na Zaporozżu dali nam kartę repatriacyjną. Przywieźli nas do Pur.

-Z Zaporozża trafiliście do Wrocławia. Wyjechaliście jesienią 45 r.?

Tak. Na granicy spalili całe nasze ubranie, ponieważ było zawszone. Dali nam jeść, wykąпали, wsadzili do wagonów i przywieźli do Wrocławia, do szpitala. Tu był lekarz. Z UNRy dostawaliśmy jedzenie, paczki, bo z głodu byliśmy aż czarni. Byliśmy tam dwa miesiące: odżywili nas, wymyli i dopiero nas osiedlali. Wcześniej nie, ponieważ ludzie byli bardzo osłabieni.

-Z kim z rodziny pani powróciła?

Wróciło pięć córek, brat i mama. Ale jeszcze na Zaporozżu brat umówił się z kolejarzem i ten wziął go pod węgiel; uciekł w 45r. w wagonie, w którym jest węgiel.

-A mężowie sióstr byli w Polsce?

Mąż jednej siostry poszedł do Andersa i był w Angli a męża drugiej zabrali ze średniej Azji do wojska.

-Czyli, że był w armii Berlinga.

Nocą szedł do mojej rodziny, która mieszkała na wsi koło Kielc i Polacy zabili go. Powiedzieli, że był szpiegiem.

-Co pani robiła po wojnie? Wyszła pani za męża?

Za męża wyszłam w 46 roku. Mąż służył w wojsku ale uciekł. Przed wojną mieszkał w Leningradzie.

-Był w więzieniu?

Zatrzymali go. Po wojnie był w partii, żeby się utrzymać, bo Rosjanie łapali podejrzanych a jego poszukiwali. Brat męża wyrobił mu fałszywe ("lewe") dokumenty i zameldował go. później przyjechała mama i pojechaliśmy tam, gdzie nas osiedlili. To było gospodarstwo.

-Gdzie to było?

Pojechaliśmy do Łeby. Tam urodziła się starsza córka.

-Trzeba było tam zostać?

Trzeba było, chociaż mąż nie chciał. Moja matka nieboszczka mówiła: "Co ty tu sama będziesz robiła?" Mąż bardzo często zmieniał adresy, żeby zatrzeć ślady.

Był w Szczecinie, Łebie, Legnicy.

-Mąż nie chciał, żeby Rosjanie go odnaleźli.

Matka męża nie wiedziała czy on żyje i poszukiwała go. Mieszkała niedaleko od nas o czym nie wiedzieliśmy. Nie wolno było nam tam chodzić. Mąż nie wiedział, czy matka żyje.

--* * * * *

Namordowaliśmy się z tymi Ukraińcami! Jak ich zobaczyłam, jak szli to krzyknęłam do ojca. Jeden znajomy, który należał do strzelców mówi: "Włada, idą tutaj. Powiedz ojcu i uciekajcie! Uciekajcie, bo was Ukraińcy zabijają!" A do nich mówi: "Gdzie wy idziecie z tymi kijami, pałami? Taka was gromada!" Jeden Ukrainiec zaczął go bić, za to tylko, że podszedł do mnie. Myślałam, że go zabije ale inni go obronili.

-Jak się układały stosunki między Polakami a Ukraińcami po tym pogromie? Pani jeszcze parę miesięcy-do lutego 40r. tam mieszkała.

Mieszkaliśmy ale nic nie było.

-Ale Ukraińcy nachodzili was, czy też nie?

Nachodzili, dokuczali nam i bili. Ale był taki postereunek milicji, NKWD, gdzie jak się poszło to oni obronili. Powiedzieli, żeby nas nie ruszać. Nie ruszać dopóki nas nie wywiozą. Przyszli nocą i cichutko zabrali.

-Czy w tym czasie pani ojciec gdzieś pracował? Co robiliście do momentu wywiezienia?

Nie wiedzieliśmy, że nas wywiozą. W domu, w którym mieszkaliśmy mieliśmy sklep. Ojciec wartościowe rzeczy zakopał. Jak przyszli to wszystko zabrali.

-Z czego żyliście przez te parę miesięcy? co robiliście?

Nie pamiętam z czego się utrzymywaliśmy.

-Ale ojciec sklepu nie otworzył?

Nie, już nie. Nie było na to pieniędzy, niczego.

-To ojciec oprócz ziemi (tych morg) miał jeszcze sklep.

Chodziliśmy jeszcze do kościoła.

-A gdzie był kościół? w Bosyrach?

Kościół był w Dsieczu, tam dokąd uciekaliśmy. Tam byli księża, którzy przewozili nas na furmankach.

-Czy Rosjanie wydali wam rosyjskie paszporty?

Nie, nie było niczego. Tylko na Ukrainie dostaliśmy kartę repatriacyjną.

-Ale w 39 i w 40 roku?

Nie było żadnych paszportów.

-Czy w wiosce była szkoła polska?

Tak. Mieliśmy szkołę w Bosyrach.

-Ale czy działała po wkroczeniu Rosjan?

Nie, Rosjanie ją zlikwidowali. Wtedy nikt nawet nie przyznawał się, że do niej chodził. Mąż przed wojną mieszkał w Leningradzie i tam była polska szkoła ale po 39 roku zamknięto ją.

-Czy wielu Polaków ocalało po pogromie? Czy oprócz was było dużo polskich rodzin?

Wiele rodzin pozabijali. Mieszkał w wiosce Polak, który miał żonę Ukrainkę. Mieli dwie córki. On chodził do polskiego kościoła, gdyż mieliśmy nieduży kościółek a żona z córkami chodziła do ukraińskiego. Przed samym naszym wywiezieniem matka z córką zabiły ojca. Kazali im zabijać Polaków. Nawet na wsi zabijali "starych" Polaków.

-To znaczy zabijali nie tylko osadników ale i tych, którzy tam mieszkali od dawna? I zabijali nawet w rodzinach?

Tak. Oczywiście nie wszyscy tak postępowali ale było bardzo dużo takich wypadków. Na przykład kazali, żeby mąż zabił żonę. Do innych strzelali.

-Jak pani ocenia: czy NKWD ochraniało Polaków czy też współpracowało z Ukraińcami?

Współpracowali.

-Czy policja ukraińska i NKWD brała udział w prześladowaniach?

Brali. Zabijali. "Wsciekam się", bo tutaj jest tylu Ukraińców a żaden się nie przyznaje. W naszym domu połowa mieszkańców to Ukraińcy.

-Czy w czasie zesłania na północy słyszała pani o innych obozach, miejscach zesłania?

Były, bo mężczyźni chodzili do innych obozów. Od bloku można było odejść tylko dwa kilometry. Ale ludzie przechodzili.

-Nie pamięta pani nazw tych obozów?

Było ich kilka. Gdy nas załadowali na kolejny transport to został jeden barak, który był oddalony od naszego o około 500 m. I oni zostali na Syberii. Później jeden z Polaków, młody chłopak uciekł stamtąd i opowiadał, że Polaków prześladują, że kolonia polska jest bardzo biedna. Na zesłanie wywożono przecież i ludzi biednych i bogatych. Podobno właśnie ci biedni zostali. I do tej pory mieszkają na Syberii. Z tym Polakiem rozmawiałam w Leningradzie. Musiał uciekać, bo coś tam "przeskrobał".

-A kiedy on to opowiadał?

To było w 60-tych latach kiedy byliśmy w Leningradzie - bo przez 19 lat mieszkaliśmy w Rosji. Wyjechałam tam z trojgiem dzieci. Tam wyrobiłam sobie emeryturę. W Leningradzie bardzo nas prześladowali, że nawet słowem nie mogłam wspomnieć, że jestem Polką. Za Stalina i Breżniewa nikt się do tego nie przyznawał.

-Czyli do 58 roku mieszkała pani w Polsce a później wyjechała pani wraz z mężem i rodziną do Rosji?

Tak. Do swojej matki, która nas zabrała. Ile tam wycierpiałam. Prześladowali gorzej niż na Syberii. Nie dawali pracy. Wróciłam do Polski w 77 roku a mąż w 80, gdyż nie chcieli go puścić.

-Kiedy uciekł z obozu człowiek, z którym rozmawiała pani w Leningradzie? Dokładnie nie wiem. Jak wywozili nas to był małym chłopcem. Bardzo słabo mówił po polsku. Powiedział, że dostali paszporty rosyjskie, domy, krowy i mieli tak żyć. I do dnia dzisiejszego oni tam mieszkają.

-I to byli wasi sąsiedzi z Wasyru?

Tak. Zostało chyba z piętnaście rodzin.

-Czy pamięta pani nazwiska?

Pamiętam ale tam były panny, które później powychodziły za mąż za Rosjan, Polaków i zmieniły nazwisko. Obecnie ta polska kolonia upomina się o prawo powrotu do Polski. Nie mieliśmy z nimi żadnego kontaktu.

Po wojnie w ZSRR bardzo Polaków prześladowano. Nie dawano im pracy.

-Gdzie pani pracowała?

Z początku dostałam się na "polustro", później do rozlewni wód mineralnych

ale rozlewali tam też wina i szampany. Rosjanki, które tam pracowały wysyłały mnie po picie. Chodziło o spirytus, bo one bardzo dużo piły. Dyrektor był dla mnie bardzo dobry, ostrzegał mnie przed piciem; mówił, że przecież mam rodzinę i nie mogę pozwolić, żeby zwolnili mnie z pracy. Z rok tam pracowałam. Później pracowałam razem z Rosjanką w fabryce z narzędziami przy zabijaniu skrzyń, które szły na eksport. Gdy Rosjanka zachorowała przasłali mi do pomocy z więzienia dwie dziewczyny i chłopaka. Zaczęli kraść. Powiedziałam im, że będę przynosiła im braki ale żeby nie kradli. Nigdy nie stwierdzono u mnie jakichś braków.. Dostałam się do zakładu Swierłowa jako uczennica. Mąż zarabiał 60 rubli, ponieważ nie dali mu więcej zarobić.

Relacja Władysławy Żółtanowskiej